

KOMPROMIS TRZEBA BUDOWAĆ TWARDO

Aby rozwiązać konflikt, należy wiedzieć,
jak doprowadzić strony do kompromisu.

A ponieważ konflikty interesów oraz postaw będą
występować zawsze, kompetencja ta jest jedną z kluczowych
umiejętności życiowych, menedżerskich i przywódczych.

O znaczeniu kompromisu i metodach dochodzenia
do niego THINKTANK w roku 2012 rozmawiał
z Tadeuszem Mazowieckim, współtwórcą
wielkich historycznych kompromisów Polski.

Tadeusz Mazowiecki: polityk, publicysta; redaktor naczelny miesięcznika „Więź”.

W latach 80. XX stulecia przewodniczący komisji ekspertów Międzyzakładowego

Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, następnie doradca Lecha Wałęsy;

współtwórca porozumień Okrągłego Stołu. W latach 1989–1990 premier; później

kolejno współzałożyciel i przewodniczący Unii Demokratycznej, Unii Wolności.

Zmarł 28 października 2013 r.



_THINKTANK: Chcemy porozmawiać z panem premierem o dialogu i budowaniu kompromisu, bo tych umiejętności brakuje liderom w biznesie i w życiu publicznym. Rozstrzyganie konfliktów wymaga tworzenia mądrych porozumień. Mimo tej oczywistej prawdy kompromis ma złe konotacje – wzbudza podejrzenia.

_TADEUSZ MAZOWIECKI: To prawda. W Polsce panuje przekonanie, że kompromis ze swej natury jest czymś niedobrym; mówi się przecież „zgniły kompromis”. Tymczasem w społeczeństwie pluralistycznym, w którym występują różne poglądy, kompromis jest naturalną drogą rozwiązywania spraw. To na nim opiera się państwo demokratyczne. Oczywiście na polemice czy walce poli-

tycznej też, ale tylko do pewnych granic, a mianowicie w taki sposób, aby pozostało miejsce na poszukiwanie wspólnie akceptowalnego rozwiązania.

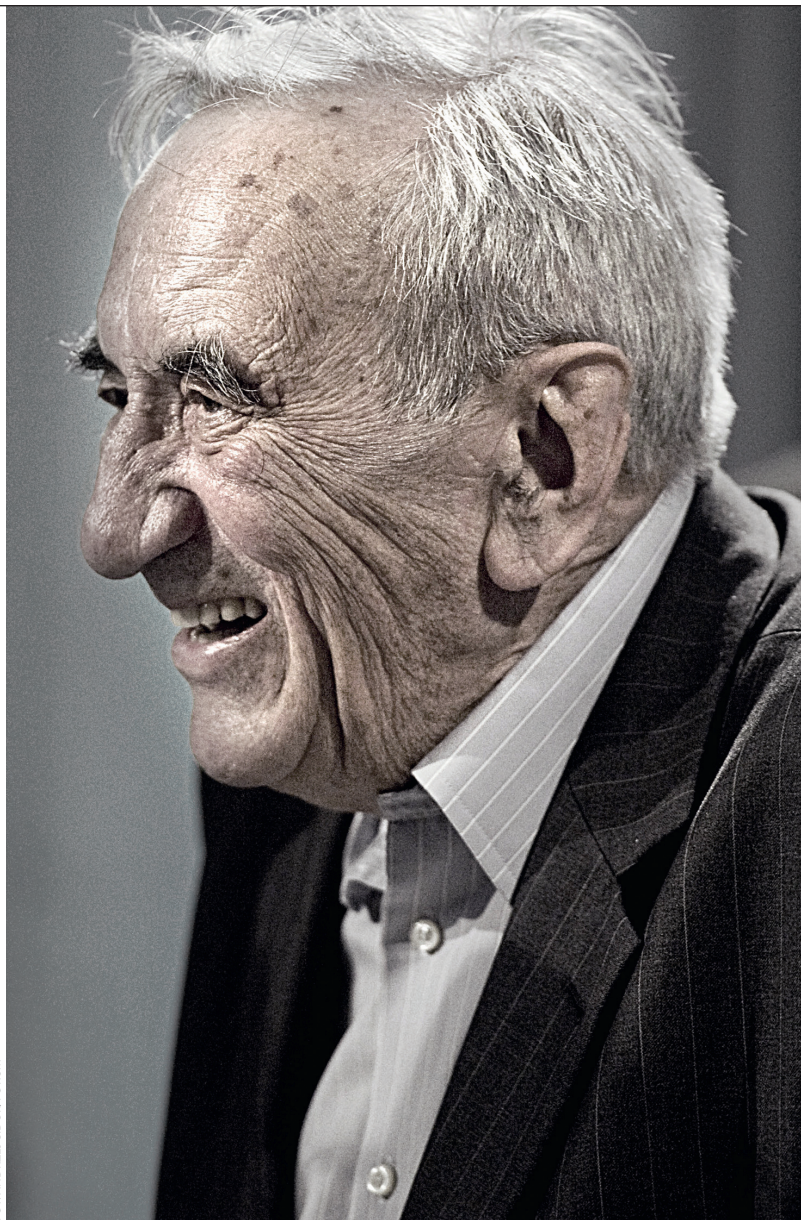
Historia zna oczywiście także przypadki niedobrych kompromisów. Mam na myśli np. Monachium, kiedy to przedstawiciele mocarstw zachodnich ulegli dyktatowi Adolfa Hitlera i – jak to celnie podsumował Winston Churchill – stracili szansę na pokój oraz honor. To jednak tylko przykład, że kompromisu nie da się budować na złych przesłankach, nie podważa on natomiast roli kompromisu jako sposobu rozstrzygnięcia konfliktów i ustanawiania nowego status quo.

– Czy kompromisy w polskiej polityce ostatnich dekad były dobre i okazały się trwałe?

•• Moim zdaniem w większości tak. Ja uczestniczyłem w trzech historycznych kompromisach. Pierwszy to porozumienie gdańskie, które ze strony strajkujących wymagało zaakceptowania, że nowy związek będzie prawnie funkcjonować w ramach ustroju PRL, ale doprowadziło do powstania wolnych, niezależnych związków zawodowych. W ten sposób uzyskaliśmy wielką strefę wolności i był to wyłom w tamtym systemie. Drugi to Okrągły Stół, który dał nam np. pierwsze wybory do Sejmu, rzecz jasna wówczas tylko częściowo wolne, ale zakładał, że następne będą już wolne w stu procentach, no i doprowadził do utworzenia mojego rządu. I wreszcie trzeci kompromis to sprawa konstytucji, która w krajach demokratycznych zwykle powstaje w wyniku szerokiego porozumienia. Uważam, że wszystkie te wydarzenia wniosły dużą wartość dla Polski.

– A czego mogą nas nauczyć o kompromisie?

•• Do porozumienia gdańskiego doszło w specyficznej atmosferze. To był schyłkowy moment epoki Gierka, który gdy wybuchły strajki, liczył się już ze swoim odejściem. Nie chciał jednak odejść z krwią robotniczą



FOT. ANDRZEJ SIDOR/FORUM

na rękach, a pamiętał masakrę robotników z roku 1970. Do strajku gdańskiego doszło po strajku lubelskim, który był pierwszym od dekady przykładem protestu, którego nie zdławiono siłą. Zawarte wówczas porozumienie było kompromisem płacowym, bo takie postulaty wystosowali strajkujący. Ale to, że władza uległa, na warunki tamtego ustroju było zupełnie nowe. Osobiście odczytałem to jako sygnał, że coś wisi w powietrzu – że jakieś zmiany będą możliwe.

Oczywiście jako opozycja zdawaliśmy sobie sprawę, że istnieje niebezpieczeństwo rozwiązania siłowego, a nawet zagrożenie zewnętrzne; dochodziły do nas pogłoski, że flota radziecka zbliża się do Gdańska. Wiedzieliśmy, gdzie są granice naszych żądań, a gdzie granice ustępstw władzy. Natomiast druga strona rozumiała determinację strajkujących. Wiedziała też, że w Gdańsku, w odróżnieniu od Lublina, pierwszorzędnym postulatem jest ten polityczny – wolne związki zawodowe.

– Cele stron były jasne: spokój i utrzymanie autorytetu partii kontra uznanie wolnych związków zawodowych. Jaki most należało zbudować, żeby się to udało?

•• Kompromis oznacza spotkanie w połowie drogi. Brałem udział w tych pertraktacjach. Stronie rządowej chodziło o to, żeby strajkujący uznali kierowniczą rolę partii zapisaną w konstytucji. Komitet strajkowy nie chciał o tym słyszeć. Po długich i męczących dyskusjach znaleźliśmy wreszcie formułę „akceptacji przewodniej pozycji partii w państwie”. Jej przyjęcie oznaczało dla nas, że nie akceptujemy przewodniej roli partii w społeczeństwie. To znaczy, że ta kierownicza rola nie wyraża się np. dyrygowaniem nowym, naszym wolnym związkiem zawodowym, bo to już jest sprawa społeczeństwa. Takie rozwiązanie pozwalało wyjść władzy z twarzą i podpisać Porozumienia Sierpniowe.

Oczywiście zawsze przy zawieraniu kompromisu istnieją pewne ukryte założenia, co dalej z nim zrobić. PZPR sądziła, że prędzej czy później z tym wolnym związkiem się upora, że system go wchłonie. Ale kompromis stał się faktem. Porozumienie rozpoczęło kilkanaście miesięcy bardzo trudnej koegzystencji, a „Solidarność” okazała się dziesięciomilionowym ruchem społecznym, wielką strefą wolności, którą złamał dopiero stan wojenny. Udało się to, bo spoj-

rzeliśmy na sytuację systemowo; widzieliśmy nie tylko siebie, lecz także całość obrazu – i znaleźliśmy furtkę w murze. Zbudowaliśmy rozwiązanie, które stworzyło nową rzeczywistość.

– Jak na kształt tego kompromisu wpłynął charakter osób, które usiadły wtedy do stołu, ich chęć do dialogu?

•• Bez woli porozumienia na pewno nie mógł się udać. W tym sensie otwartość na dialog Mieczysława Jagielskiego i Lecha Wałęsy była kluczowa. W pierwszej chwili, gdy premier Jagielski przyjechał do stoczni, zareagował niezwykle nerwowo, wręcz histerycznie, na obecność nas, ekspertów. Zobaczył, że robotnicy mają ciekawe narzędzie w postaci komisji eksperckiej, do którego władza nie była przyzwyczajona. Tworzyło to inne warunki do rozmów.

Po obu stronach były silne osobowości, które negocjowały twardo. Nie dążyły jednak do konfrontacji, nie uległy demagogii, miały ogłęd sytuacji i wolę szukania porozumienia. Ówczesny wojewoda gdański Jerzy Kołodziejski, który odegrał ważną rolę w negocjacjach, także był człowiekiem kompromisu i wiedział, że raczej leżą po stronie robotników. Co najważniejsze, rozumiał, że ten strajk nie może zostać utopiony we krwi. Dlatego podczas rozmów komisji eksperckiej mieliśmy z nim wspólny język. Oni mieli problem, czy wypracowane propozycje zaakceptuje Warszawa, my – czy zaakceptują je strajkujący. Każda strona czuła się zdeterminowana. Przypomnę – w sierpniu roku 1980



Kompromis oznacza spotkanie w połowie drogi. Bez woli porozumienia nie może się udać.



Dialog i rozmowa są lepsze niż starcie, pozwalają stronom dojrzeć wspólny i nadrzędny interes.

pomagała nam świadomość, że mamy w naszej historii najnowszej zdarzenia, które kończyły się krwawo. I że czasem, wskutek odrzucenia porozumienia, ponosi się olbrzymie ofiary. To na nas działało, ale nie odbierało nam kręgosłupa. Była pewna granica, której na pewno byśmy nie przekroczyli, lecz ta świadomość motywowała nas do zawarcia pokojowego rozwiązania.

**_ Drugi kompromis to Okrągły Stół.
Ten dojrzewał dłużej.**

•• O tym mało się pisze i mało wie, ale proces dochodzenia do Okrągłego Stołu był niezwykle mozolny. Władza chciała wprawdzie rozmawiać z opozycją, ale za nic nie zamierzała uznać „Solidarności”. Nie mogła wydusić z siebie tego słowa. Pamiętam spotkanie w parafii w Wilanowie z udziałem Lecha Wałęsy i moim, po drugiej stronie był gen. Czesław Kiszczak i Stanisław Ciosek. Rozmowy zostały zerwane, ponieważ domagaliśmy się użycia w komunikacie słowa „Solidarność”. Druga strona nie chciała się wtedy na to zgodzić. Pamiętam głos biskupa Tadeusza Gocłowskiego, który apelował, żebyśmy się nie rozeszli „w kompletnym zerwaniu” (bo przypominało to chodzenie po linie ze świadomością, że ta lina zaraz może się zerwać). W rezultacie wydano krótki komunikat techniczny, że rozmowy będą kontynuowane.

**_ W końcu słowo „Solidarność” przeszło władzy
przez gardło. Dalej poszło już jak z płatka?**

•• Raczej nie, zaczął się kolejny mozolny proces negocjowania konkretnych ram kompromisu – nastąpił czas ustalania jak, kiedy, w jaki sposób... Obie strony cały czas miały różne stanowiska i dalej należało szukać wyjścia. Władza najpierw chciała, żeby uznawanie „Solidarności” trwało kilka lat, a dla nas to było nie do zaakceptowania.

Byłem twardy, bardzo twardy w tych rozmowach. Uważałem, że musi być jasne, że chcemy szybkiego zalegalizowania związku. Uważaliśmy, że oni muszą zrozumieć, że nie przebiją tego pancerza.

Później, przy samym Okrągłym Stole, pojawił się postulat naszego udziału w sferze politycznej, pomysł wyborów kontraktowych i wolnych wyborów do Senatu. Okrągły Stół był żmudnym procesem, posuwaniem się krok po kroku, poszerzaniem możliwości, bo wciąż pojawiały się jakieś nowe pomysły. Obie strony testowały, jak daleko mogą się posunąć, do jakich nowych rozwiązań może nas to doprowadzić. Między władzą a „Solidarnością” był konflikt moralny, instytucjonalny. Ale potrafiliśmy znaleźć w tej konfrontacji szanse. Myśleliśmy, jak zmienić konflikt w możliwości.

**_ Trzecim wielkim kompromisem
była dyskusja nad konstytucją w roku 1997.
Na czym wówczas polegało wyzwanie?**

•• W krajach demokratycznych debata nad konstytucją prowadzona jest zwykle w oparciu o kompromis. My uchwaliliśmy konstytucję w bardzo trudnej atmosferze. W trakcie prac nad konstytucją ugrupowania postsolidarnościowe były mocno podzielone i słabe. Większość w Sejmie miały wtedy partie wywodzące się z poprzedniego systemu. W obozie postsolidarnościowym panowało przekonanie, że nie należy uchwalać konstytucji, ponieważ nie będzie miała politycznej czy moralnej legitymacji.

Byłem przekonany, że nawet jeżeli istniejąca wówczas większość parlamentarna przegra wybory, to trudno będzie wyłonić większość, która uchwali dobrą konstytucję. Czekaliby nas wtedy pat. Poza tym byliśmy już prawie osiem lat po przełomie, a nadal nie było ustawy zasadniczej,



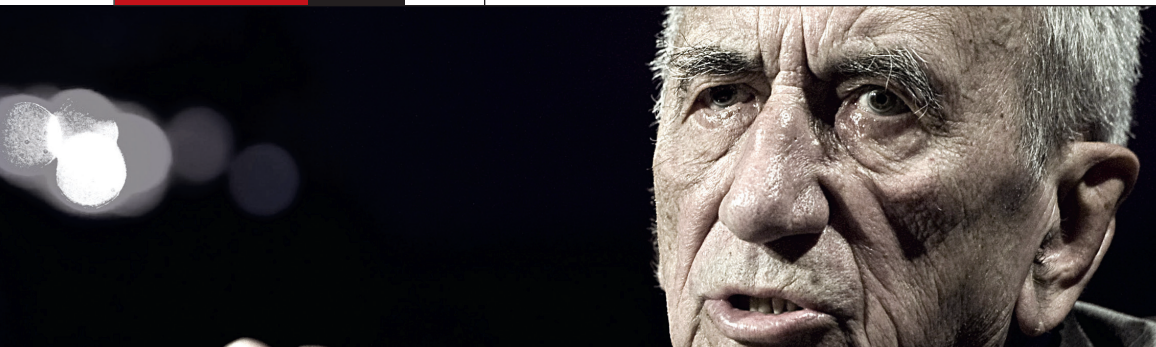
FOT. ANDRZEJ SIDORFORUM

co też nie stawiało nas w najlepszym świetle jako państwa kandydującego do Unii Europejskiej.

W negocjacjach punktem krytycznym stała się kwestia preambuły, którą część sceny politycznej widziała w bardzo tradycyjnej formie z *Invocatio Dei*, co właściwie już we współczesnych demokracjach nie występuje. Druga strona nie chciała o tym słyszeć. Wystąpiłem wtedy z projektem bazującym na pomysle, który zaproponował w „Tygodniku Powszechnym” Stefan Wilkanowicz, inicjując tym samym rozmowy o możliwym kompromisie. Był to niewątpliwie test na to, czy większość sprawująca władzę będzie skłonna rozmawiać. Okazało się, że tak. Dzięki temu uchwaliliśmy preambułę w brzmieniu, którą później papież Jan Paweł II wskazał jako wzór dla konstytucji europejskiej.

— Poza tymi trzema wielkimi kompromisami kolejnych kompromisów wymagało także kierowanie rządem. Mówi się o panu jako człowieku, który potrafi prowadzić dialog. Ale w rządzie twardo stawał pan na swoim. Nie chciał pan być „malowanym premierem”?

❖❖ W tej kwestii nie mogło być miejsca na żaden kompromis. Myśmy byli rządem obliczalnym. Uważałem ponadto, że ten rząd musi być też rządem rzeczywistym. To było dla mnie bardzo ważne, potem nawet spowodowało moje spory z Lechem Wałęsą, który najpierw nam pomagał, a później wystąpił z krytyką na nasz temat. A co to oznaczało? Że nie może być tak, że rząd administruje, a gdzieś z tyłu – w Gdańsku – jest biuro polityczne, które ma moc decyzyjną. Nie, ten rząd miał być – i był – rządem naprawdę rządzącym. Decyzje zapadały bezpośrednio w nim, co było istotne dla całego mechanizmu władzy i skuteczności reform.



Mieliśmy poczucie, że to rząd wielkiej zmiany i że tę zmianę musimy przeprowadzić. PZPR też w gruncie rzeczy się z tym stopniowo godziła. Zresztą bardzo szybko okazało się, że my mamy zdecydowaną większość parlamentarną i będziemy rządzić samodzielnie. To już była inna rzeczywistość. Ten duch spowodował, że szybko odeszliśmy od ustaleń ekonomicznych Okrągłego Stołu. Zresztą były one przyjmowane w innych warunkach, miały reperować tamten ustrój gospodarczy, teraz chodziło o to, by go zmienić na gospodarkę wolnorynkową.

– Jakie kompromisy trzeba było zawierać w tym rządzie?

•• Przede wszystkim wymagał on współdziałania, bo działaliśmy w bardzo niepewnych warunkach. Nie wiedzieliśmy, jak potoczy się sytuacja w całym ówczesnym obozie socjalistycznym. Dlatego trzeba było iść ostrożnie, pragmatycznie i z wizją.

Pamiętam moment na samym początku. We wrześniu, gdy nowy rząd ledwo co się ukonstytuował, dostałem wiadomość, że do Polski napływają uchodźcy z NRD. Według umowy PRL – NRD mieliśmy obowiązek odstawić ich z powrotem. Mieliśmy pełną świadomość, że wtedy oddamy ich w ręce NRD-owskiej bezpieki. W związku z tym zdecydowałem, że nie będziemy tych ludzi zawracać, co zakomunikowałem gen. Kiszczakowi. On na to, że przecież obowiązuje nas umowa z NRD. Powiedziałem, że nie będziemy jej wykonywać. Ostatecznie podczas posiedzenia Rady Ministrów trzeba było podjąć postanowienie, które uzasadniał również szef MSZ Krzysztof Skubiszewski od strony polityki zagranicznej – o wyż-

szości obowiązywania nas paktów praw człowieka nad umową z NRD, której nie zamierzaliśmy w tej sytuacji respektować.

Mieliśmy świadomość, że w tym momencie rzucamy wyzwanie paktowi warszawskiemu. Nie było jasne, czy NRD nie zacznie mobilizować sojuszników w ramach paktu, dowodząc, że w Polsce rządzą wrogowie socjalizmu. Stąpaliśmy po niepewnym gruncie, ale szliśmy zdecydowanie krok po kroku. Najważniejsze było przeprowadzić naród suchą stopą przez tę rzekę i nie doprowadzić do rozlewu krwi.

– Czuł pan takie zagrożenie?

•• Z punktu widzenia struktur państwa było wiadać, jak jest ono słabe, jak rozchodzi się w szwach. To było groźne. Przypomnę – kilka lat wcześniej zdarzył się mord księdza Jerzego Popiełuszki, łatwo więc można było sobie wyobrazić, że ponownie dochodzi do tego typu prowokacji. Dlatego chciałem mieć w rządzie gen. Kiszczaka jako sygnatariusza Okrągłego Stołu. On i przede wszystkim prezydent Wojciech Jaruzelski gwarantowali przeciwdziałanie prowokacji z ich strony.

W gospodarce mieliśmy z kolei do czynienia z dużą zmianą i grą na przeczekanie. Wielu ówczesnych dyrektorów przedsiębiorstw doszło do wniosku, że przetrzymali już parę prób reformowania gospodarki, więc przetrzymają też kolejną. Nie zamierzali współdziałać. Jak mówił minister Tadeusz Syryjczyk, nie było dnia, żeby nie zmieniano jakiegoś dyrektora dużego zakładu pracy, bo oni chcieli nas przeczekać. Gdyby wcześniej

zabrali się do reformowania swoich zakładów, transformacja byłaby mniej bolesna.

Jako rząd mieliśmy całkowitą samodzielność, podejmowaliśmy decyzje suwerennie. Świat nas obserwował, a patrzył z dużą niepewnością. Uznaliśmy, że trzeba stopniowo iść naprzód. Zresztą sądzę, że temu zawdzięczmy udaną Jesień Ludów w całym bloku komunistycznym. Gdyby w Polsce z powodu naszych działań nastąpiło zahamowanie, wówczas twardogłowi w innych krajach przyhamowałyby zmiany. Nasi zachodni partnerzy też obawiali się, czy polskie przemiany zdadzą egzamin i czy nie zaszkodzą reformom w całym Związku Radzieckim. Obawy, czy nie doprowadzimy do destabilizacji, były duże.

_ Z perspektywy widać, że pana rząd przeprowadził realne, głębokie zmiany i dał impuls do rozwoju jako jeden z niewielu w ostatnim 20-leciu. Tymczasem spotykał się pan z zarzutami, że działa za wolno, że trzeba iść szybciej, że nie czas na stare kompromisy. Zarzucano rządowi brak dekomunizacji, ale też wprowadzenie religii do szkół – do dziś budzi to kontrowersje.

•• Zawsze mówiłem, że jako katolik miałem wątpliwości, czy powrót religii do szkół jest dobrym rozwiązaniem. Nie chciałem jednak zafundować Polsce na progu jej wolności wielkiego, paraliżującego podziału światopoglądowego, chciałem wyjść temu naprzeciw. Można powiedzieć, że sposób rozwiązania też był jakimś kompromisem, który jednym się podobał, drugim nie. Podobnie nie zgadzam się z zarzutami, że rząd nie podjął tematu dekomunizacji i lustracji. Drugą zasadniczą reformą obok gospodarczej była reforma samorządowa będąca wielkim aktem dekomunizacyjnym, która zmiotła komunistyczną władzę na najniższym szczeblu i przywróciła demokrację lokalną w Polsce.

W społeczeństwie pluralistycznym, w którym występują różne poglądy, kompromis jest naturalną drogą rozwiązywania spraw. To na nim opiera się państwo demokratyczne.

Czy można było coś zrobić szybciej? Miałem później poczucie, że niektóre rzeczy tak, np. wprowadzenie wiceministrów w MON czy MSW. Ale byłyby to zmiany szybsze o miesiąc albo dwa. A czy w tak trudnej i niepewnej sytuacji zaletą jest ostrożność, czy ryzykowanie? Moim zdaniem ostrożność była wówczas wymogiem rozsądnym.

_ Polska próbuje eksportować umiejętność zawierania mądrych kompromisów. Okrągły Stół może inspirować kraje w transformacji politycznej, jak państwa Afryki Północnej czy Birmę. Co możemy im poradzić?

•• Z takimi radami zawsze jestem ostrożny, ponieważ warunki polityczne i kulturowe w każdym przypadku są odmienne. Moim zdaniem oni sami powinni wybrać z naszych doświadczeń to, co uznają za przydatne dla siebie. Ale uważam, że po pierwsze, trzeba rozmawiać. Dialog i rozmowa są lepsze niż starcie, pozwalają stronom dojrzeć wspólny i nadrzędny interes. Po drugie, trzeba mieć wolę przeprowadzania zmian i świadomość, że decyzje należy podejmować szybko. Moment wprowadzania zmiany jest decydujący, a potem wszystko się rozmywa i grzęźnie. Po trzecie, zmiany muszą być trwałe, a to wymaga zbudowania mostów, instytucji, w których dialog będzie się rozwijał, powiększał to kruche na początku porozumienie. Prócz odbudowy życia politycznego bardzo ważna jest przy demokratyzacji budowa trwałych instytucji mających charakter nadrzędny i pozapartyjny, takich jak np. Trybunał Stanu, sąd konstytucyjny, bank centralny, czy tworzenie form współistnienia między państwem a religią.

_ Umie pan tworzyć kompromisy, ale miał pan w życiu moment, gdy bezkompromisowo powiedział „nie” – w Bośni. Dlaczego?

•• Uznałem wtedy, że nie mogę obywatelom Bośni pomóc inaczej niż poprzez bardzo głośną rezygnację. Taką, która wstrząśnie opinią międzynarodową. Gdy przyjąłem funkcję sprawozdawcy specjalnego Komisji Praw Człowieka ONZ, powiedziałem, że nie mam zamiaru jej wykonywać tylko po to, by tworzyć raporty do dyplomatycznych sejfów. Chciałem na sytuację wpływać. Rozmawiałem więc ze wszystkimi stronami tam, gdzie mogłem. Wówczas od razu powstał problem: czy zadaniem takiego specjalnego wysłannika jest raportowanie, czy też wpływanie. Niektórzy moi krytycy w tamtym czasie mówili, że niepotrzebnie nadają polityczny charakter tej funkcji.

Wielkim moim sojusznikiem była zaś opinia publiczna. W sprawie Bośni udało mi się przedstawić 18 raportów. Zabrałem też głos w Radzie Bezpieczeństwa, mówiłem o łamaniu praw człowieka. To było wszystko, co mogłem zrobić. Stało się więc dla mnie jasne, że albo mogę żyrować niemoc i bezczynność wielkich mocarstw, albo mogę nimi wstrząsnąć. I wybrałem to drugie.

_ Kto nauczył Tadeusza Mazowieckiego, jak zawierać kompromis?

•• Nikt, żadna szkoła. Na pewno wpłynęły na mnie różne sytuacje w historii i wzorce z mojego środowiska. W historii i literaturze mało mamy takich postaci, które uczą dialogu, kompromisu, z których postawy można czerpać.

Chciałbym, aby ranga kompromisu w życiu publicznym została bardziej doceniona. Kompromis jest trudny. Wymaga otwartości, ale również pewnej wytrzymałości psychicznej. Wypracowując kompromisy, trzeba się z tym oswoić. Jako negocjatorzy w „Solidarności” mieliśmy pewną swobodę poruszania się w negocjacjach. Zawsze jednak nasi mandatarjusze uważali, że wywalczyliśmy za mało. Że najlepiej byłoby, gdybyśmy

dostali sto albo dwieście procent z tego, z czym siada się do stołu. Pięćdziesiąt procent uważali już za zginiły kompromis. Żeby budować dobry kompromis, trzeba być twardym.

_ Może dlatego w życiu publicznym, ale też w instytucjach i firmach jest go dziś tak mało. Co panu premierowi najbardziej przeszkadza dziś w polityce?

•• Boli mnie to, że w dzisiejszej polityce dominuje marketing polityczny oraz chęć przypodobania się wszystkim, a nie przeprowadzania konkretnych rozwiązań. Będąc w polityce i podejmując się działania, trzeba mieć przygotowaną odpowiedź na pytanie, czy chce się przekształcać historię, czy budować swój osobisty sukces. Oczywiście najlepiej robić jedno i drugie, ale nie zawsze to wychodzi. Mój przykład pokazuje, że choć udało mi się wiele zrobić w interesie większości, poniosłem osobiste koszty polityczne. Uważam jednak, że trzeba było je ponieść. Że było warto.

Boli mnie też destrukcja na scenie politycznej. Partia opozycyjna przyjęła strategię niszczenia świadomości państwowej i państwa jako takiego. Siejąc nieufność do instytucji takich jak rząd, prokuratura czy sądy, siejąc nieufność także na zewnątrz, tworzy i pogłębia podziały społeczne. Specjaliści od destrukcji budują swoją siłę na konfrontacji, wskazywaniu „obcych”, zaprzeczaniu nawet oczywistym osiągnięciom. Taka postawa nie służy rozwiązywaniu żadnych realnych problemów.

Dlatego doceniam politykę Bronisława Komorowskiego, który doszedł do władzy pod hasłem „zgoda buduje” i tworzy wokół Pałacu Prezydenckiego miejsce dialogu różnych środowisk i zderzeń różnych społecznych wizji. Sprzyja to tworzeniu bardziej gęstej siatki społeczeństwa obywatelskiego, odbudowie poczucia wspólnoty. Żadne porozumienie nie jest możliwe, gdy między stronami, które siadają do stołu, nie ma elementarnego poczucia wspólnoty. ■